



# Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

**obuwie dziecięce, damskie i męskie.**

MICHAŁ MORPHY.

## TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

PROLOG.

RYWALE.

ROZDZIAŁ I.

Nędza.

1 Wśród najciekawszych typów, ilustrujących ła-cińską dzielnicę Paryża w roku 18., a więc dobrze jeszcze przed epoką sportów, kolei podziemnej i automobilów, wymieniano przedewszystkiem niejakiego Leona Carboniera, niezbyt gorliwego studenta praw.

Pomimo dwudziestu dwóch lat życia, lichym on był znawcą kodeksu, ale natomiast celował w gimnastykę, szermierkę i w walkach na rękę.

Rosły, barczysty, nie miał w sobie nic z przyszłego prawnika.

Jego niewyczerpana wesołość czyniła go arcy-miłym towarzyszem, to też fetowano go chętnie po kawiarniach bulwaru św. Michała, dziś wyszłych już nieco z mody.

Z wyglądem Herkulesa łączył on upodobanie artysty, kolekcjonera i literata.

Czas, którego nie spędzał na wykładach, poświęcał na zwiedzanie sklepów różnych osobliwości i antyków, lub też t. zw. brasseryi damskich.

Niekiedy zamykał się u siebie i przerzywał kilka liber papieru na małe kartki, które numerował starannie. Poczem pisał na pierwszej kartce tytuł dzieła, które zamierzał stworzyć i dodawał wzmiankę: „przez Leona Carboniera“.

Trapił przez czas nieiaki własną wyobraźnię, kreślił kilka wierszy, zmyślał je, kartkę darł... poczem schodził na kufelek.

Zdawało się, że ani na chwilę nie zastanawiał się nad tem, że jego wuj, jedyny krewny, jakiego posiadał, przeznaczył go do kariery adwokackiej.

Nagle, wuj ten umarł, czyniąc jedyną spadkobierczynią swoją arcylegalną małżonkę.

Carboniera został powiadomiony, że z tego źródła nic dlań nadal nie wpłynie.

Zamiast pieniędzy, przysłano mu radę, słuszną bez sprzeczki, ażeby zabrał się do pracy i wyrobił sobie pozycję niezależną, którą miał zawdzięczać wyłącznie samemu sobie.

Młody człowiek znalazł się niebawem sam jeden, bez grosza, oko w oko z egzystencją, w jednym z pokoiów meblowanych na bulwarze św. Michała, co nie jest bynajmniej tak śmiesznem, jak sobie to wyobrażają zaci tatusiowie z prowincyi.

Nie miał żadnych środków do życia, a dumny był! Jeszcze jedną osobliwość tej potężnej natury stanowiła krańcowa lekliwość w kwestyach pieniężnych. Pożyczanie napawało go wstętem.

W chwili, gdy się rozpoczyna opowieść niniejsza, był w kompletnej ruinie.

Buty, zdarte doszczętnie, otwierały się z przodu i z tyłu, z wybuchu ciągłego śmiechu, nieco zgrzytliwego pod uciskiem kroków.

Rozpaczliwy stan odzieży domagał się skromnego wycofania z życia publicznego i pójsia w zasłużony stan spoczynku, pomiędzy rupiecie.

Carboniera był posępny i unikał oglądania w lustrze swej powierzchowności zgłodniałego atlety.

Wszystkie złudzenia szczęśliwego studenta, wszystkie aspiracje kolekcjonera i pisarza streszczały się dlań teraz w jednej, upartej potrzebie życia doczesnego — jeść!

A gdy głód, okrutny trapićiel, zrzędził mocniej w jego pustym brzuchu, jakże bolesnem było dlań wtedy, przechadzając się po wrącej ziemi dzielnicy, czuć zapachy kuchennych pocziwych burżujów, szerzące się swymi aromatami aż po ulicę, po której kroczyła jego nędza!

Często przylepiał się niejako do witryn restauracyjnych i pochłaniał wzrokiem wiktuały, zdjęte pożądaniami szaleńca!

Co za męki!

Doszło do tego, że jadał skórki od chleba, sprzedawane na targu Patryarchów na pożywienie królików.

Dnia pewnego natknął się na brata w niedoli. Był to rysownik i rzeźbiarz.

Młodzian przystojny, o długich, ciemnych włosach, dość słusznego wzroku i równie ukrywający swą nędzę w długim, wytartym surducie.

Carboniera znał go jeszcze wtedy, gdy mu się dobrze działo.

I obaj biedacy porozumieli się niebawem.

Rozmowa, trwająca parę minut, zacieśniła węzły ich przyjaźni na śmierć i życie, jak oświadczył Carboniera.

— Ja bo — rzekł — zerwałem z rodziną. A ty?

— Idem no.

— Wydziedziczony także?

— Gorzej, wyklęty!

— Ach, tego mi brak jeszcze. Słuchaj, ja bo jestem literatem.

— A ja rzeźbiarzem.

— Ja szukam nakładcy.

— A ja, środka na ukrycie cer na pantalonach. I nie znajduję!

— Ani ja!

— Doszedłem do szczytu bryndzy... czarniejszy od brudu!

— Co do mnie, oddawna już dościsłem *sum-mum*.

— Parszywa dola!

Ubiór rzeźbiarza przyszłości był opłakany.

Surdut, zapięty aż pod szyję, dopuszczał hipotezę braku koszuli, którą od dawien dawna zastąpił kołnierzyk z papieru.

Marny kaszkietek mocno wytłuszczony ledwo że utrzymywał równowagę na jego szopie.

Obaj koledzy niedoli zadawali sobie wzajemnie takie pytania:

— Masz surdut jak pierwszy minister, czy i bieliznę masz pod spodem?

— Bieliznę! Kp-arzu, nie pytaj o nieobecnych!

— To nic, jesteś piękny, jak burżuj w święto. Masz, widzę, podeszwy u butów, sybaryto!

— Mam dlatego, że chodzę po trotuarach świeżo asfaltowanych... Asfalt przylepia się do spodów i człowiek uwalnia się od wilgoci na całe trzy doby.

— Tak? Muszę to wypróbować.

— Biedny Carboniera!

— Kochany Monte Leon!

Obaj znali się za lepszych czasów — o co nie trudno — to też spotkawszy się w sytuacji równie rozpaczliwej, nie mieli wzajem sekretu dla siebie.

Carboniera przywiązał się do przyjaciela, który stał się głową nowego związku.

Monte-Leon potrzebował uzdrawiającej przyjaźni.

Była to natura delikatna i już już o mało nie odebrał był sobie życia, gdy oto natknął się na starego kamrata.

We dwóch łatwiej zdobyć się na męstwo.

Pewnego dnia rzeźbiarz wydawał się zanadto znekany, literat wykrzykiwał na bulwarach jeden z dzienników wieczorowych i zarobił półtora franka jako sprzedawca gazet!

Nazajutrz rewanzował się Monte Leon.

Rozdawał prospekty, za co otrzymał w końcu dnia dwa franki pięćdziesiąt centymów. Był to zbytek! I tak żyli wspomagając się wzajem.

Raz na tydzień, gdy im fortuna dopisywała, spożywali obiad w „taniaku“ i każdy pozwalał sobie wtedy na kartoflanek z baraniną.

W wielkie święta wypijali butelkę piwa na dwóch.

Cóż to za festyn dla zgłodniałych!

Chętnie byliby zaprzęдали duszę dyabłu, byle codziennie orgii takich kosztować, ale duch złego nigdy nie dał się wyprowadzić w pole.

Dobrzy ludzie, znający obu przyjaciół, a którym się zdawało, że oni żyją tylko z powietrza, mawiali sobie:

— Dlaczego oni nie pracują?

Łatwo to było mówić. Bo do jakiej pracy zabrać się mogą takie skurczybrzuchy, noszący dyplom bakałarza w kieszeni, jak wyrok śmierci?

Wszystko zamknięte przed nimi i nic się nie otwiera, krom sposobów do łatwych przestępstw!

Niech włożą bluzy — a jeśli nie potrafią być robotnikami, to będą mogli podejmować się roli kopi-stów lub adresowaczów, t. j. pracować dla tych, co wyzyskują nędzę w surdutach.

Nasi obaj znajomi doszli właśnie do takiej konieczności. Pracowali w biurze ogłoszeń i wykonywali kopie kaligraficzne po dziesięć centymów od strony lub opaski z długimi adresami po franku za tysiąc.

W tym ostatnim charakterze zarabiali średnio po półtora franka codziennie.

Życie i mieszkanie zapewnione.

Pół franka lokal, bochen chleba razowego za pięć sous, kupiony w pobliżu koszar, a reszta na inne wydatki. Rzadko kiedy zdobywali się na kartoflanek, o której mówiliśmy co tylko.

Taki żywot (jeżeli można użyć tego wyrazu dla określenia powolnej agonii) pędzi tysiące istot, które konają z krzykiem rozpacz, lubo natura obdarzyła je świetną inteligencją, lubo na ustach pieśń miłości miały, a świeża poezye w sercu!

Ale oto zabrał roboty... nawet owych adresów dla reklam. Bywaj zdrow, dostatku nędzy!

Nocą przechadzali się po ulicach, albo sypiali w lasku.

A nad hodziła nieubłagana zima!

Raz, wieczorem, gdy śnieg padał, Monte Leon spostrzegł, że godzą ludzi do zmiatania ulic.

Trzy franki!

Ofiarowano trzy franki!

A biedny Carboniera, ukryty w piwnicy jednego z budujących się domów, chory był!

Trapiła go uporczywa gorączka.

Monte Leon nie jadł nic od dwóch dni.

Trzeba ośwoić się z nędzą, ażeby taki stan przetrzymać! Oswajają się niejedni!...

Gód szarpał mu wnętrzności i kurczył go w pół. Zbliżył się do inspektora, który rozdawał robotę i ofiarował się do zmiatania.

Ten zmierzył go od głowy do stóp, spostrzegł buty bez podeszew, ubiór mieszczanina w strzępach, wycieńczenie, i pokręcił głową z uśmiechem:

— Tu parobka trzeba! — rzekł tylko — ja bo przyjmuję wyłącznie tylko wyrobników.

Monte-Leon odszedł jak winowajca, czerwony ze wstydu, drżący na całym cielem i trawiony febrą.

Nieco opodał przystanął, zacerpując powietrza: dwie lzy rozpacz spadły na biały całun grudniowy i zrobiły dwie dziury w śniegu.

Myśl grobu przyszła mu do głowy. Zimno było na ziemi.

Gdy tak pogrążył się w czarnych myślach, mi-jała go jakaś para.

Był to olbrzymi mężczyzna w ciepłym futrze, prowadzący pod rękę śliczną młodą dziewczynę.

Ona spostrzegła nieszczęśliwego i rzekła smutnym głosem:

— Ach wujaszku, taki biedny człowiek!

Mężczyzna zmierzył Monte Leona i odparł sentencyonalnie:

— Oto, do czego prowadzi lenistwo i występki!